



Wściekły głód

Kresley Cole

fragment

Na wyspie na Sekwanie, na tle czerniejącej fasady wiecznej katedry, mieszkańcy Paryża bawili się na festynie. Emmaline Troy spacerowała pomiędzy połykaczami ognia, kieszonkowcami i ulicznymi śpiewakami. Kryła się wśród plemion czarno ubranych Gotów, którzy oblegali Notre Dame, jakby to był gotycki statek-matka, wzywający ich z powrotem do domu. Ale i tak ściągała na siebie uwagę.

Mężczyźni, których mijala, powoli odwracali głowy, aby się jej przyjrzeć. Marszczyli brwi, wyczuwając coś, czego nie byli pewni. Prawdopodobnie genetyczna pamięć z dawnych czasów kazała im uważać na potencjalną fantazję lub najczarniejszy koszmar, jaki mógł ich spotkać.

Emma nie była żadnym z powyższych.

Była świeżo upieczoną absolwentką uniwersytetu Tulane... samodzielnie spędzającą czas w Paryżu, a do tego głodną. Zmęczona kolejnymi poszukiwaniami krwi, zakończonymi fiaskiem, opadła na rustykalną ławkę, ustawioną pod kasztanem i wzrokiem przywołała kelnerkę, która właśnie robiła espresso. Gdyby tylko krew dało się tak prosto upuścić, pomyślała Emma. Gdyby płynęła tak łatwo, ciepła i słodka, ze zbiornika bez dna, wtedy jej żołądek nie kurczyłby się boleśnie z głodu na samo jej wspomnienie.

Umierać z głodu w Paryżu. A do tego samotnie. Czy można być w bardziej kłopotliwym położeniu?

Pary, trzymające się za ręce, spacerujące po żwirowych alejkach zdawały się kpić z jej samotności. Czy jej się zdawało, czy w tym mieście zakochani patrzyli na siebie z większym zachwytem? A już szczególnie na wiosnę. Gińcie, skurwysyny.

Westchnęła. To nie jej wina, że wszyscy są skurczybykami, skazanymi na śmierć.

Postanowiła przyjść na ten festyn, zachęcona przez folder, dostarczony do jej pustego hotelowego pokoju, gdyż pomyślała sobie, że w Mieście Światła może znaleźć nowego dawcę. Jej poprzedni partner wyjechał na południe; dosłownie, opuścił Paryż i uciekł na Ibizę. Starał się nawet wytłumaczyć, dlaczego porzuca pracę. Mamrotał coś o „powrocie króla” i jakimś „poważnym, imponującym gównie”, które właśnie się kluje w „wesołym Paryżewie”. Cokolwiek by to znaczyło.

Jako wampir była członkiem Tradycji, organizacji skupiającej istoty, które przekonały ludzi, że żyją tylko w ich wyobraźni. Jednak mimo, że Tradycja była tu silnie zakorzeniona, Emma nie była w stanie zastąpić dawcy. Wszystkie istoty, które mogła zapytać, uciekały od niej w popłochu, ponieważ była wampirem. Umykały nie czekając nawet na wyjaśnienia, że Emma nie jest nawet pełnej krwi, ani że nigdy w życiu nie ugryzła żadnej żywej istoty. Jej surowe, przybrane ciotki uwielbiały mówić, że Emma płacze różowymi łzami, nawet wtedy, kiedy niechcący otrze z pyłku skrzydła ćmy.

Emma nie zrealizowała żadnego zadania, jakie sobie wyznaczyła podczas tej podróży, na którą tak bardzo nalegała. Miała zamiar zdobyć informacje na temat swoich zmarłych rodziców – matki walkirii i nieznanego ojca wampira, ale poniosła klęskę. Klęskę, która przybierze monstrualne rozmiary, kiedy wreszcie będzie musiała zadzwonić do ciotek, żeby ją stąd zabrały. Ponieważ nie była w stanie zadbać o pożywienie. Żalodne. Westchnęła. Będą suszyć jej głowę przez następne siedemdziesiąt lat...

Usłyszała trzask i zanim zdołała pomyśleć o biednej kelnerce, której potrąca z pensji za poniesione straty, hałas powtórzył się, a za nim następny. Uniosła głowę i zobaczyła, jak parasol umocowany do stolika po przeciwnej stronie chodnika strzela do góry niczym rakietą i wpada do Sekwany. Łódź z turystami zakołysała się i buchnął wrzask francuskich przekleństw.

Na wpół oświetlony ulicznymi latarniami potężny mężczyzna wywracał kawiarniane stoliki, stanowiska artystów i stragany bukinistów, sprzedających stuletnią pornografię. Turyści wrzeszczeli i uciekali przed istnym huraganem zniszczenia. Emma poderwała się na nogi i zarzuciła plecak na ramię. Mężczyzna szedł wprost na nią, powłóczył czarny płaszcz kładł się za nim na ziemi. Jego wielkość i nienaturalnie płynne ruchy sprawiły, że zastanowiła się, czy rzeczywiście jest człowiekiem. Jego włosy były gęste i długie, na wpół zakrywały mu twarz, a szczękę ocieniał kilkuniedniowy zarost.

Wyciągnął drżącą dłoń i wskazał wprost na nią.

– Ty – wrzasnął.

Dziewczyna rozejrzała się wokoło, szukając pechowego odbiorcy tych słów. Miał na myśli ją. Niech to, ten szaleniec wziął się właśnie na nią.

Odwrócił dłoń i gestem przywołał ją do siebie. Tak jakby był pewny, że do niego przyjdzie.

– Mm... no... ja pana nie znam – pisnęła, próbując się wycofać, ale jej nogi natychmiast uderzyły w ławkę.

Zbliżał się do niej, ignorując stoliki, które ich dzieliły. Rozrzucił je na boki, jak zabawki i nie schodził z kursu prosto na nią. Szaleńcza furia płonęła w jego blado niebieskich oczach. Czuła jego gniew coraz bardziej, im bliżej podchodził. Zaniepokoiła się. Przecież jej gatunek uważany był za nocnych drapieźników... nigdy za zwierzynę. Poza tym w głębi serca, była tchórzem.

– Chodź – wystękał z trudem i ponownie skinął dłonią. Potrząsnęła głową, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma i nagle skoczyła ponad ławkę, obracając się w powietrzu.

Wylądowała plecami do niego i ruszyła w dół alejki. Była słaba, piła krew ponad dwa dni temu, ale strach dodawał jej sił, kiedy wpadła na Most Arcybiskupi i umknęła z wyspy.

Kiedy minęła trzy... nie, cztery domy, zaryzykowała rzut oka przez ramię. Nie widziała napastnika. Czy udało jej się umknąć? Nieoczekiwana muzyka, dobiegająca z torebki sprawiła, że krzyknęła głośno.

Kto do cholery zaprogramował właśnie tę melodyjkę jako dzwonek jej komórki? Zmrużyła oczy. Ciotka Regina. Najbardziej niedojrzała wśród wszystkich nieśmiertelnych tego świata, która wyglądała jak syrena i zachowywała się jak nastolatka.

Wyciągnęła aparat. O wilku mowa... Promienna Regina.

– Jestem trochę zajęta – warknęła Emma, oglądając się przez ramię.

– Porzuć bagaże. Nie ma czasu na pakowanie. Annika chce, żebyś natychmiast jechała na lotnisko. Jesteś w niebezpieczeństwie.

– Co?

Klik. To nie było ostrzeżenie. To było polecenie.

Zapyta, o co tu chodzi, kiedy już będzie w samolocie. Tak jakby potrzebowała pretekstu, żeby wracać do domu. Na samo wspomnienie o niebezpieczeństwie pędziła do swojej kryjówki, do ciotek walkirii, które zabijają każdego, kto odważy się ją zaatakować i które zawsze trzymają okrucieństwo za progiem. Kiedy próbowała przypomnieć sobie drogę na lotnisko, na którym wylądowała jakiś czas temu, zaczął padać deszcz, lekki i ciepły na początku... kwietniowi zakochani ze śmiechem umykali przed wilgocią... ale szybko przechodzący w lodowatą ulewę. Weszła w zatłoczoną aleję; w tłumie czuła się bezpieczniej. Umykała przed samochodami, wściekle wymachującymi wycieraczkami i buczącymi klaksonami. Nigdzie nie widziała prześladowcy.

Jedynie z plecakiem na ramieniu, poruszała się szybko. Przeszła kilka kilometrów i w końcu dotarła do dużego parku, za którym rozciągały się pasy startowe. Mogła zobaczyć smugi rozgrzanego powietrza ponad pracującymi silnikami maszyny, szykowanej do startu. Widziała pasma światła kładące się pod zamkniętymi oknami. Już prawie na miejscu.

Emma usiłowała przekonać siebie samą, że zgubiła prześladowcę, ponieważ była szybka. Przyszło jej to z łatwością, ponieważ była mistrzynią w udawaniu, że wszystko jest w porządku. Mogła udawać, że to ona sama wybrała nocne zajęcia, i że nie chce jej się pić...

Usłyszała ryk wściekłości. Szeroko otworzyła oczy, ale nie odwróciła się, tylko ruszyła biegiem przez pole. Poczowała, jak szpony zaciskają się na jej kostce na sekundę przed tym, jak została powalona na błotnistą ziemię i przewrócona na plecy. Dłoń zakryła jej usta, chociaż nauczono ją, żeby nie krzyknąć.

– Nigdy nie uciekaj przed takimi, jak ja. – Jej prześladowca nie brzmiał jak człowiek. – Nie uda ci się uciec. A my to lubimy. – Jego głos był głęboki, jak głos bestii, jednakże akcent przypominał jej... Szkocję?

Patrzyła na niego poprzez padający deszcz. On także się jej przyglądał, oczyma które raz były złote, a raz migotały czystym błękitem. Nie, to nie był człowiek.

Z bliska widziała, że miał męskie, regularne rysy. Mocno zarysowany podbródek i szczeka podkreślały wysoko rzeźbione policzki. Był piękny, tak piękny, że przez chwilę myślała, że musi być upadłym aniołem. Być może. Na jakiej podstawie mogła wykluczyć taką ewentualność?

Dłoń, która spoczywała na jej ustach, złapała ją za podbródek. Zmrużył oczy, koncentrując wzrok na jej ustach... na ledwie dostrzegalnych kłach.

– Nie – jęknął. – Nie, to niemożliwe... – Szarpnął ją za głowę i przyjrzał się uważnie szyi, powąchał skórę i wrzasnął z wściekłości – A niech cię diabli.

Kiedy jego oczy zrobiły się nagle lodowato niebieskie, krzyknęła, z trudem chwytając powietrze.

– Czy umiesz się przenosić? – zazgrzytał, jakby mowa przychodziła mu z trudem. – Odpowiedz mi!

Potrząsnęła głową, nie pojmując. Kiedy wampiry mówiły o przenoszeniu, miały na myśli teleportację, znikanie i pojawianie się powietrzu. A więc on wie, że jestem wampirem?

– Umiesz?

– Nnie. – Nigdy nie była na tyle silna, ani wyszkolona, aby to zrobić. – Proszę – mrużyła oczy przed zacinającym deszczem. – Złapałeś nie tą osobę.

– Sądzę, że cię znam. Upewnię się, skoro nalegasz. – Uniósł rękę... żeby ją dotknąć? Uderzyć? Odepchnęła go, sycząc wściekle.

Silna dłoń schwyciła ją za kark, drugą ręką złapał ją za nadgarstki; schylił się ku jej szyi. Całe jej ciało napięło się, kiedy poczuła na swojej skórze jego język. Jego usta były gorące w porównaniu z chłodnym, wilgotnym powietrzem. Drżała niepoohamowanie aż rozboleły ją mięśnie. Jęknął, całując ją, jego dłonie mocno więziły jej ręce. Czowała, jak krople deszczu spływają pod sukienką po jej udach, mroząc skórę.

– Nie rób tego! Błagam... – Ostatnie słowo przeszło w żalony jęk, który najwyraźniej obudził go z jakiegoś transu. Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy, marszcząc brwi, ale nie uwolnił rąk.

Przesunął szponem w dół jej bluzy, rozciął tkaninę i cienki stanik, a potem powoli pogładził jej piersi wierzchem dłoni. Szarpnęła się, ale był zbyt silny, aby miała szansę się uwolnić. Patrzył łakomie, jak zimny deszcz uderza w jej nagie piersi. Drżała niepoohamowanie.

Jego ból był tak silny, że przyprawiał go o mdłości. Mógł wziąć ją tu i teraz albo rozerwać bezbronne ciało i zabić ją...

Zamiast tego rozerwał swoją koszulę, a potem oplótł potężnymi ramionami jej ciało i przyciągnął ją do piersi. Jęknął, kiedy ich ciała się zetknęły, a dziewczyna poczuła, jak przenika ją elektryczny impuls. Błyskawica przecięła niebo.

Wyszeptał obce, niezrozumiałe słowa prosto do jej ucha. Wiedziała, że to były... czułe słowa i przez chwilę zdawało jej się, że postradała zmysły. Zwiła w jego ramionach, podczas gdy on drżał, wodząc gorącymi ustami po jej szyi, twarzy, oczach i brwiach, moczonych lodowatym deszczem. Klęczał, tuląc ją w ramionach. A ona leżała, bezwładna i oszołomiona, patrząc w niebo, przecinane błyskawicami.

Ujął jej głowę w dłoń i zajął jej w twarz.

Wyglądał na rozdartego kiedy tak patrzył, pełen gwałtownych emocji... nikt nigdy nie patrzył na nią tak intensywnie. Poczuła zamęt w głowie. Czy ją zaatakuje, czy puści? Pozwól mi odejść.

Łza spłynęła po jej twarzy, ciepła kropla pośród lodowatych strużek deszczu.

Spojrzenie zniknęło.

– Krew zamiast łez? – wrzasnął, poruszony różowymi łzami. Odwrócił głowę, jakby nie był w stanie na nią patrzeć, i na ślepo okrył jej ciało podartą bluzą. – Zabierz mnie do swojego domu, wampirze.

– Ja... ja nie jestem stąd – powiedziała drżącym głosem, ciągle oszołomiona tym, co się stało i faktem, że on wie, kim ona jest.

– A więc zabierz mnie do miejsca, gdzie się zatrzymałaś – rozkazał, patrząc na nią z góry, gdyż tymczasem podniósł się na nogi.

– Nie – była zdumiona, że to powiedziała.

On także wyglądał na zaskoczonego.

– Ponieważ nie chcesz, żebym przestał? Dobrze. Wezmę cię tu i teraz, na tej trawie, na kolanach. – Uniósł ją z łatwością i rzucił na ziemię. – A rano wszędzie słońce.

Musiał zobaczyć wyraz rezygnacji na jej twarzy, gdyż uniósł ją w górę, postawił na nogach i pchnął.

– Kto z tobą mieszka?

Mój mąż, chciała odwarknąć. Osilek, który zaraz skopie ci tyłek. Ale nie umiała skłamać, a zresztą i tak nie miała odwagi, żeby go prowokować.

– Jestem sama.

– Twój mężczyzna pozwala ci na samotne podróże? – zapytał, przekrzykując szum deszczu. Jego głos znów przypominał ludzką mowę. Kiedy nie odpowiedziała, dodał z uśmiechem – Masz naprawdę niefrasobliwego samca. Jego strata.

Potknęła się o kępę trawy więc podtrzymał ją delikatnie, co najwyraźniej sprawiło, że znów się rozzłościł. Nie zamierzał jej pomagać. Ale chwilę później, kiedy mijał ich samochód, szarpnął ją w tył na gniewny dźwięk klaksonu. Zamachnął się na pojazd, szpony przecięły karoserię niczym aluminiowe sreberko; samochodem zarzuciło. Kiedy auto wreszcie się zatrzymało, blok silnika opadł na ziemię z głuchym łupnięciem. Kierowca otworzył drzwi, wysiadł na ulicę i rzucił się do ucieczki.

Z otwartymi ustami usiłowała się wycofać, kiedy dotarło do niej, że jej prześladowca zachowywał się, jakby... nigdy nie widział samochodu. Podeszedł do niej i nachylił się nad nią.

– Mam nadzieję, że spróbujesz ponownie przede mną uciec – powiedział niskim, zimnym głosem.

Złapał ją za rękę i postawił na nogi.

– Jak daleko jeszcze?

Drżącą ręką pokazała na hotel Crillon na Placu Zgody.

Spojrzał na nią wzrokiem pełnym nienawiści.

– Wy zawsze mieliście pieniądze – powiedział cierpko. – Nic się nie zmieniło. – Wiedział, że ona jest wampirem. Czy miał pojęcie kim, a raczej czym są jej ciotki? Na pewno... w przeciwnym razie skąd Regina wiedziałaby, że musi ją przed nim ostrzec? Skąd mógł wiedzieć, że jej kowen jest tak dobrze ustawiony?

Po dziesięciu minutach marszu, podczas którego napastnik włókł ją coraz to inną aleją, przeszli obok hotelowego portiera i weszli do hallu, koncentrując na sobie zaciekawione spojrzenia. Na szczęście światła były przygaszone. Naciągnęła mokrą kurtkę na podartą bluzę i opuściła głowę, zadowolona, że zaplotła włosy tuż nad uszami.

Pod spojrzeniami obcych ludzi poluzował nieco uścisk na jej ramieniu. Musiał zdawać sobie sprawę, że nie powinni ściągać na siebie uwagi. Nie krzycz, nie pozwól, aby ludzie się tobą zainteresowali. W końcu oni zawsze okazywali się bardziej niebezpieczni niż tysiące istot należących do Tradycji. Kiedy mężczyzna otoczył ramieniem jej barki, tak jakby byli parą, uniosła ostrożnie głowę i zerknęła na niego spod szopy mokrych włosów. Chociaż szedł dumnie, tak jakby całe to miejsce należało do niego, rozglądał się wokół, jakby to wszystko było dla niego obce. Dzwonek telefonu sprawił, że zesztyniał. Ruchome drzwi także go denerwowały. Chociaż doskonale to ukrywał, zauważyła, że nie ma pojęcia, do czego służy winda. Zawahał się w progu. W środku jego potężna sylwetka, rozpierana energią sprawiła, że przestrzeń nagle się skurczyła.

Krótki spacer od windy do drzwi pokoju był najdłuższym w jej całym życiu. Całą drogę wymyślała i odrzucała kolejne plany ucieczki. W drzwiach zawahała się i zyskała trochę czasu, szukając karty na samym dnie głębokiej torebki.

– Klucz – warknął.

Podala mu kartę z głębokim westchnieniem. Patrząc na jego twarz pomyślała, że znów zażąda klucza, ale tylko popatrzył na drzwi i podał jej kawałek plastiku.

– Ty to otwórz.

Drżącą dłonią wsunęła kartę do szczeliny. Mechanizm zabuczał, a kliknięcie zamka zabrzmiało w jej uszach jak ostatnia godzina.

Kiedy weszli do pokoju, sprawdził każdy skrawek powierzchni, jakby chciał się upewnić, że naprawdę jest sama. Zajrzał pod łóżko, nakryte brokatową narzutą, a potem rozsunął na boki ciężkie jedwabne draperie, odsłaniając jeden z najlepszych widoków na Paryż. Poruszał się jak drapieżne zwierzę, każdy ruch pełen agresji; zauważyła, że oszczędza jedną nogę.

Kiedy ruszył powoli, kulejąc, w jej stronę, otworzyła szerzej oczy i osunęła się na ścianę. Szedł do niej, przyglądając się, studiując, oceniając... aż w końcu jego wzrok zatrzymał się na jej ustach.

– Czekałem na ciebie tak długo.

Wciąż zachowywał się tak, jakby ją znał. A przecież nigdy by nie zapomniała takiego mężczyzny.

– Potrzebuję cię. Nieważne, czym jesteś. I nie zamierzam dłużej czekać.

Na te słowa jej ciało nieoczekiwanie rozluźniło się. Wyciągnęła ręce, tak jakby chciała go przyciągnąć do siebie, a jej kły schowały się w dziąsła jakby oczekiwała na pocałunek. Nerwowo schowała ręce za siebie, drapiąc ścianę i przygryzła język lewym kłębem. Ale jej systemy obronne najwyraźniej nie działały. Była przerażona. Ale dlaczego jej ciało się nie bało?

Oparł dłonie o ścianę po obu stronach jej twarzy. Bez pośpiechu pochylił się i przywarł ustami do jej warg. Jęknął, kiedy ich usta się zetknęły, a po chwili przycisnął mocniej, pieszcząc jej wargi językiem. Zamarła, nie wiedząc, co robić.

– Pocałuj mnie, wiedźmo – szepnął, nie odrywając ust. – A ja postanowię, czy darować ci życie.

Z okrzykiem przywarła do jego warg. Mężczyzna znieruchomiał, jakby chciał, aby całkowicie przejęła inicjatywę, więc dziewczyna cofnęła lekko głowę i delikatnie potarła ustami o jego wargi.

– Pocałuj mnie tak, jakby miało to uratować ci życie.

I zrobiła, jak chciał. Nie dlatego, że tak bardzo chciała żyć, ale dlatego, że wiedziała jak bardzo się postara, aby jej śmierć była długa i bolesna. Nie chciała bólu. Nigdy.